

Aleksandra Śliwińska

I/814

Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołoszuk

© ARCHIWUM WSKRÓDNI

Aleksandra Śliwińska z d. Karpowicz, urodzona 17 kwietnia 1929 roku w Brześciu. Mój ojciec Stefan Karpowicz pracował jako leśniczy w leśniczówce niedaleko Berezny kartuskiej, nadleśnictwo Bronna Góra. Pracował tam jeszcze we wrześniu 1939 roku. Z tej leśniczówki musieliśmy uciekać do jakiejś wsi i tam zostaliśmy 10 lutego 1940 roku aresztowani. Kazano nam zabrać po 30 kg bagażu na osobę, ale w rezultacie zabraliśmy więcej, bo niektórzy byli życzliwi i radzili brać rzeczy. Mama się nawet dziwiła: po co, skoro jedziemy na krótko. Ale oni odpowiadali, żeby brać garnki, bo się przydadzą; ciepła odzież się przyda. Załadowali nas na trzy furmanki i wieźli dość długo - to było nocą. Stacja nazywała się, здаје się, Niechaczów.

Tam stał już bardzo długi pociąg, załadowany takimi ludźmi, jak my. Myśmy myśleli, że to tylko nas wywożą. Ale to było świetnie zorganizowane, bo nikt przedtem tego się nie spodziewał. Co jakiś czas przywożono jakąś rodzinę i wpychano do wagonu. Każdy potem w pociągu mówił, że był przekonany, że to tylko jego rodzinę wywożą. Jazda była straszna, dlatego że pociągi nie były przystosowane do przewożenia ludzi, to były pociągi towarowe albo bydłowe. Nie było wody, nie było ubikacji, a w transporcie było dużo dzieci. Od czasu do czasu - może raz na dzień - pociąg się zatrzymywał, trzeba było wychodzić pod wagon i załatwiać swoje sprawy fizjologiczne, co u niektórych było niemożliwe, bo stali żołnierze i to trzeba było robić pod karabinem. Moja mama płakała, ale nie mogła... Ludzie zorganizowali się, wyrabiali dziurę w podłodze, zasłonili kocem - i po kolei można było z tego korzystać.

W wagonie była już pierwsza śmierć. Dla mnie to było tragiczne: zmarł chłopiec, który powinien był żyć - on przepięknie śpiewał, był bardzo utalentowany. Początkowo ludzie w wagonie byli do siebie wrogo nastawieni: była ciasnota, ludzie walczyli o każdy kawałek miejsca, patrzyli na siebie spode łba, kłócili się. A potem nawet, kiedy już urządzili tę ubikację, to kłócili się o kolejkę do niej, o to, że ktoś za długo patrzy przez okienko pod sufitem. Pewnego dnia Leonard zaczął śpiewać - rodzice akompaniowali mu mruzcando. Śpiewał tak pięknie, że ludzie zaczęli być dla siebie życzliwi. To był Leonard Jarodzki /Jarocki?/. Leonard miał młodszą siostrzyczkę - Renię /może miała 3 latka/, a on był może moim rówieśnikiem - miał około 10 lat. To była bardzo rozśpiewana rodzina. Śmierć Leonarda była dla mnie ogromnym wstrząsem.

Ludzie zaczęli być dla siebie życzliwi, zaczęli się przesuwac: niech Pani tu usiądzie, może tu dziecko posadzić, a może Pan/i/ chce popatrzeć przez okno. A może to wszystko się już

Aleksandra Śliwińska c.d.

"utrząsło" po kilku dniach. Ludzie przestali być zwierzętami i zaczęli zachowywać się po ludzku.

W wagonie były rodziny policjantów - całe rodziny i same kobiety z dziećmi /już bez mężów/. Ojciec mój był w mundurze leśnika, a np. Jarocki był w cywilu - może był osadnikiem.

Leonard mógł mieć dyfteryt - miał wysoką gorączkę, przestał śpiwać. Ludzie zaczęli przynosić mu zabawki, ktoś wyciągnął słoninę, ktoś miód. Koło niego wyrosła cała fura dobrych rzeczy, ludzie chcieli go ratować. Potem zaczęto tłuc w drzwi: przyszedł kolejarz - Rosjanin - zaczął tłumaczyć, że pomocy nie ma skąd oczekiwać, bo dookoła nie ma osiedli ludzkich, jest las. Kolejarz ten przyszedł do wagonu następnego ranka, ale ludzie chcieli go wyrzucić, bo dziecko już zmarło. Na jakiejś stacji /była tylko budka/ przyszło dwóch mężczyzn, mężczyźni ci wzięli zmarłego Leonarda, wynieśli z wagonu, rozgrzebali śnieg, położyli go i zasypali śniegiem. Leonard miał przeczucie naprzeciwko nas - na górze. W wagonie były 72 osoby. Koło nas była rodzina o nazwisku Brandenbura - były tam 2 dziewczynki trochę starsze ode mnie.

Na jednej ze stacji /być może to była ostatnia stacja na terenie polskim/ usłyszeliśmy stukanie, skrobanie do drzwi. Ojciec Leonarda wychylił się: koło wagonu stał kolejarz i pytał po polsku, ile osób jest w wagonie. Powiedział, że ta informacja jest mu potrzebna. /Prawdopodobnie dane te przekazywano dalej - może do Anglii/. Kolejarz ten udawał, że bardzo gorliwie sprawdza stan wagonu. Ale on też nie wiedział, dokąd nas wiozą. Ludzie w wagonie byli przekonani, że nas wiozą gdzieś na krótko. Nikt nie przypuszczał, że wywożą nas na zawsze - powiedziano to, kiedy już dotarliśmy do celu: "Nie zobaczycie Polski tak, jak nie zobaczycie swojego ucha".

Po dwóch - może trzech - tygodniach dotarliśmy na ostatnią stację kolejową - Chołmogorkę. Tam nas wysadzono i roznieoszono po domach. Nasza rodzina mieszkała u Ukraińców - czekali na dalszy transport. Potem przyszły ciągniki pod plandeką. Był bardzo wielki mróz. Przydały się poduszki i pierzyny, które NKWDziści poradzili nam ^zbrać. Jechaliśmy w tych poduszkach i pierzynach tydzień.

Przywieziono nas do Szund-Oziero, w łagrze były puste baraki, w jedynym przyzwoitym domu mieszkał naczelnik NKWD z rodziną, była stołówka, sklep, do którego przywożono od czasu do czasu chleb. Chleb był na kartki. Naczelnym hasłem było: "Kto nie rabotajet, tot nie jest".

Aleksandra Śliwińska c.d.

Baraki były bardzo zapluskwione - ogromna ilość pluskiew! Te pluskwy spadały nawet z sufitu. Baraki były stare, kiedyś używane. Dookoła był gęsty las - i w tym lesie przymusowa praca.

W lagrze tym był barak-szkoła, gdyż potem musieliśmy się uczyć. Dzieci do 12 lat chodziły do pierwszej klasy, a od 12-14 - II klasa, a starsze dzieci już chodziły do pracy. W szkole uczyła żona NKWDzisty, urokliwa, piękna kobieta - ładnie ubrana, zadowolona, dobrze odżywiona. Uczyła nas piosenek, bawiła się z nami, tańczyła, pokazywała kolorowe obrazki i wpajała nam, kto jest najlepszy na świecie... W szkole tej nauczyłam się może paru literek. Kiedy ojciec mój po jakimś czasie zapytał, czego się nauczyłam w tej szkole, to mu odpowiedziałam. Ojciec zdecydował, że więcej do tej szkoły nie pójdę. I nie poszłam. Kilkoro dzieci przestało chodzić na "naukę", bo poza rusyfikacją i propagandą niewiele tam słyszeliśmy. W baraku szkolnym był też punkt sanitarny, który obsługiwała Rosjanka. Był jeszcze "diesiatnik", który gonił ludzi do pracy. Rosjanie też chyba obsługiwali stołówkę. Z terenu obozu nie wolno było się oddalać. Było nas chyba parę tysięcy Polaków. Kiedy wyjeżdżaliśmy potem na południe, to przymusowo została tam rodzina Rojków i Gąsków. Nie wiadomo za co. Rodzina Rojków była duża - chyba 9 dzieci. Nie zatrzymali naszej rodziny, chociaż ojciec dostał wyrok śmierci.

Ojciec mój był tam dość aktywny. Po pewnym czasie Polacy zbudowali nowy przyzwoity barak, w którym każda rodzina mogła mieć swój pokój. Ojciec załatwiał ludziom wiele spraw. Po wybudowaniu tego nowego baraku rozluźniło się w innych barakach. Nasza rodzina też dostała pokój w nowym baraku. Właśnie stamtąd ojciec został zabrany. Aresztowano wtedy 6 osób, chyba tych najaktywniejszych. Do nas przyszli w nocy, znów nas sparaliżowało; zrobili rewizję. Następnego dnia mama poszła do stołówki, gdzie można było dostać triesku /dorsz smierdzącego, solonego/ i tam się dowiedziała, że oprócz ojca aresztowane jeszcze innych 6 mężczyzn /m.in. chyba Kowalewskiego czy Kowalewicza/. Zabrali ich jako "wrieditielej So-wietskiego Sojuza". Mama jeździła potem na rozprawę, a jeszcze później pokazała nam papierek o tym, że ojciec dostał karę śmierci. Kryliśmy się z tą informacją, bo być potomkami takiego człowieka na tamtych terenach - to strach.

Z obozu ojciec pisał listy na kresy do znajomych. Dostawaliśmy paczki /potem nawet chodziły plotki, że ojciec nosił coś z tych paczek do NKWD, żeby mnie zwolniono ze szkoły./. Po wojnie spotkałam się z rodziną Millerów /w Zielonogórskim/, a Michaś Miller był przyjacielem mojego ojca. Michaś zginął podczas wojny,

Aleksandra Sliwińska c.d.

a od starszego Millera usłyszałam następującą historię: ojciec mój pewnego razu poszedł do punktu sanitarnego. Tam siedział starszy człowiek, który nie pracował w lesie - zajmował się dziećmi, które zostawały bez rodziców. Człowiek ten przyszedł do pielęgniarki po pomoc, bo go bolało serce. Pielęgniarka wyzwała tego starego człowieka: "to nie rabotajet...", a on nie mógł już pracować ze starości, tylko opiekował się dziećmi. Człowiek ten w punkcie sanitarnym zmarł, a mieszkał w tym samym baraku, co i my. Wówczas mój ojciec wziął tego zmarłego - jeszcze ciepłego - na plecy, niósł go przez obóz i wyniósł na władzę /pod wpływem tej śmierci/. Zmarłego pochowano w lesie - to był pierwszy polski krzyżyk na mogile koło lagru.

Zgonów wtedy nie było, bo ludzie jeszcze mieli zapasy - my mieliśmy skłoninę w beczce - przychodziły paczki. Jak ktoś nie dostawał paczek, to ludzie się dzielili. Była jeszcze ta ryba w stołkówce. Nikt nie wiedział jeszcze, co nas czeka. Piekło zaczęło się później, w 1942 roku. Wyjechaliśmy z tych baraków do Kotłasu, a z Kotłasu nie było transportu dalej. Dano nas z powrotem do baraków, nie było żadnej możliwości zaopatrzenia, nie było pracy, nie było żadnej pomocy - wtedy ludzie zaczęli umierać...

Z pobytu w Szund-Oziero zapamiętałam jeszcze taki moment: kiedy ojca już nie było, musieliśmy chodzić do pracy. Nie chodziło nawet o normę żywieniową, bo mieliśmy jeszcze zapasy. Ale był przymus pracy. Mama moja nie bardzo nadawała się do pracy fizycznej - przed wojną nie pracowała. Prawdopodobnie nie poszła więc kiedyś do pracy. A na terenie obozu było jeszcze pomieszczenie zwane "katałaszką" - to było mini-więzienie, domek na kurzej łapce, bez okien. Mamę zamknięto do tej katałaszkii. Były przypadki, że ludzi wywożono do więzienia do rejonu. A mamę zamknięto tylko na trzy dni. Po tym areszcie mama dostała świetną "posadę" - stróża nocnego przy sklepie. W sklepie nic nie było, więc nikt do niego się nie włamywał. Była to praca pozorowana, ale mam nie była już "biełoruczka", a osoba pracująca; miała o wiele lepiej, niż kobiety, które wywożono do więzienia rejonowego na kilka miesięcy.

Po wyjeździe z Archangielskiego kraju - już bez ojca - czekała nas tragiczna podróż. Płynęliśmy Dówiną z Ustwaingi w stronę Kotłasa, w Kotłasie był punkt zborny. Pamiętam, że nas wyrzucono ze statku, bo to była już jesień i statek zamarzał. Poniewieraliśmy się po różnych punktach, ale wreszcie dotarliśmy do Kotłasu. Tam znowu nie było transportu, trafiliśmy ponownie do zimnych baraków. W grudniu ruszyliśmy już dużym transportem - pociągami - na południe.

Aleksandra Sliwińska c.d.

Znowu była obok nas rodzina Jarockich. Na moich oczach zmarła dziewczynka Jarockich - ich drugie dziecko.

W tej podróży byliśmy już bardzo głodni. Nie mieliśmy zapasów - a żadnej żywności nikt nam już nie dawał. Pamiętam, na jednej ze stacji stał pociąg z mąką. Dwaj czy trzej Polacy z naszego transportu wyszli z wagonu, żeby z tego pociągu wziąć worek maki - ratować ludzi od głodu. Mężczyźni ci zostali złapani i rozstrzelani na niejmsu, m.in. był rozstrzelany pan Toruń /ojciec Zdzicha/ - dzieci pana Torunia były potem w domu dziecka - jeden syn był u Andersa. Żona p. Torunia zmarła chyba 3 lata temu we Wrocławiu, utrzymywałam z nią cały czas kontakt.

Inny obrazek: co parę dni z wagonów wyciągano nieboszczyków. Na pewnej stacji, kiedy przyszli z tymi hakami wyciągać zmarłych, ludzie powiedzieli, żeby zabrać chłopca, który zmarł na szkarlatynę; nikt nie chciał jechać ze zmarłym. Matka tego dziecka rzuciła się jak lwica, nie dała chłopca. Okazało się, że ten chłopak jeszcze żył, został odratowany. To był Czesio Kowalski. Potem on trochę nie słyszał, był potem w domu dziecka. Matka pracowała też w domu dziecka. Przyjechaliśmy potem razem do Polski. Ojciec Czesia zmarł na północy w lesie - na zapalenie płuc. Ludzie pracowali ciężko, przeziębiali się, a lekarstw nie było. Zmarła też tam jedna córka pp. Kowalskich. Został Czesław i jeszcze jedna dziewczynka, ale ta dziewczynka zmarła na południu; tak że w rezultacie wrócili z tej rodziny tylko oni dwoje - matka i syn.

Na innej stacji widziałam, jak na zderzakach leżały nieboszczyki. Na innej - chyba już w Azji - pamiętam, jak wzdłuż wagonów biegł człowiek i mówił, że jest księdzem i może zabrać do Armii Andersa 100 dzieci /chodziło przede wszystkim o sieroty/ - myśmy byli wtedy z mamą, jak można było się rozłączać!?

strona II

Po tej podróży dojechaliśmy do Sara-Asija w Uzbekistanie. Siedzieliśmy kilka dni w czajchane /takiej herbaciarni/ całymi rodzinami. Stamtąd rozrzucali nas po kołchozach - znów do obowiązkowej pracy - wszyscy musieli pracować: i chorzy i dzieci. Nas zawieźli na odległość około 8 km od rejonu; trzeba było się przeprawić przez rzekę. W kołchozie było dużo Polaków, ale pamiętam tylko nazwisko Małupa - to była duża rodzina. Dochodziły do nas informacje, że można było wychodzić z wojskiem Andersa, to rodziny polskie stopniowo poznikały z kołchozu. Brat mój zorganizował się i poszedł do junaków, a ja byłam na wpół żywa - i mama też się źle czuła i nie mogła się zorganizować. Zostałyśmy we dwie w tym kołchozie.

Aleksandra Sliwińska c.d.

Wiosną postanowiliśmy uciekać z tego kołchozu, od tej dziczy w górach. W międzyczasie jeszcze na nas napadnięto, ograbiono resztki dobytku, jaki miałyśmy. Przedsiębiorcą kołchozu był mężczyzna, który miał oficjalnie 4 żony. Zaczął uderzać w konkury do mojej matki, żeby pozyskać piątą żonę, ale mawiał, że sercu będzie pierwsza. Do kołchozu przyjechał kiedyś Tatar, z którym można było się porozumieć trochę po rosyjsku. Otóż Tatar ten przekazał mojej mamie zaproszenie na kolację od przewodniczącego kołchozu i zaznaczył, że od tej gościny nie można się wymówić, bo tu jest inna obyczajowość - odmowa może się równać śmierci. Poszliśmy z mamą na tę kolację. Mama moja była brunetką, być może w tym pie tego Uzbeka. A na mój widok pluli, wycierali się /bo jestem blondynką/, mówili, że jestem brzydkim dzieckiem. Ale ten Uzbek mówił, że będzie mnie tolerować. Siedzieliśmy na podłodze, ilość dywanów świadczyła o samożności domu, ilość żon również. Kolacja jak na tamten glód była wysmienita, bo był płow; mnie pociągaly rodzynki i suszone owoce. Po tej kolacji mama powiedziała, że jeśli ja chcę pozostać przy życiu, to musimy z tego kołchozu uciec. Kołchoz nazywał się Kizyl-idus tzn. Czerwona gwiazda.

Z tego kołchozu matka doprowadziła mnie do rejonu, a tam była polska placówka. Pracował w niej Bogusz Marcelli /zmarł dwa lata temu w wieku prawie 90 lat/. Mama była bardzo chora, została umieszczona w szpitalu. Więcej już swojej mamy nie widziałam, nie wiedziałam nawet, kiedy mama zmarła. Byłam tak wycieńczona, że po chorobie uczyłam się chodzić: najpierw na czworakach, potem przy ścianie. Kiedy jesienią byłam już na tyle silna, żeby pójść odwiedzić mamę, to dowiedziałam się, że mama dawno nie żyje, że zmarła w szpitalu. Ale ja też nadawałam się tylko do szpitala. Trafiałam tam, ale lekarz powiedział, że szpital to nie dom pogrzebowy dla Polaków. Ze szpitala mnie wypisano, poszłam znów na placówkę polską i zostałam w rodzinie Boguszków. Oni wysłali swoje dzieci do domu dziecka /w Chanaka/ - może w obawie, żeby się nie zaraziły ode mnie gruźlicą, a ja zostałam u nich tak długo, póki nie wyzdrowiałam. A wyzdrowiałam bardzo szybko, nadspodziewanie: dostałam mleko, jajka, przytyłam. Powieszono mnie na prześwietlenie do Stalirabadu - tam stan mój wywołał podziw. Wyzdrowiałam. Ale to już był 1943 rok. Zaczęto likwidować placówki polskie. Tam było wtedy strasznie: przychodziły wiadomości, że znowu będą aresztowania, że trzeba będzie przyjmować rosyjskie obywatelstwo. Boguszowie nie chcieli tego obywatelstwa przyjmować. Marcelli Bogusz postanowił pójść do wojska, a nas porozmieszczać w domach dziecka. Boguszowie zastąpili mi rodzinę, na p. Bogusza mówiłam "ojciec".

Aleksandra Sliwińska c.d.

On chodził koło mnie podczas choroby - sprzątał, pielęgnował. O tym, co czeka placówkę, dowiedział się od naczelnika NKWD poufnie; naczelnik miał wobec Bogusza dług wdzięczności - dostał od niego chininę dla chorej na malarię córki. Wtedy do placówek polskich przychodziły dary z Ameryki i Polacy już na malarię nie umierali. Bogusz dał temu naczelnikowi nawet więcej tabletek chininy, niż on prosił. Teraz ten NKWdzista poradził mu rozdać Polakom wszystko, co jest na placówce z zapasów, i wyjechać. Ogłoszono Polakom, żeby przyszli po dary: rwano nawet na połówki koca, żeby każdy dostał sprawiedliwie, podobnie dzielono puszki. Boguszowie wyjechali do sąsiedniego rejonu - do Szurczy, a ja byłam zdrowa i pojechałam do domu dziecka. Rodzina Bogusza mieszkała potem w Sosnowcu. On miał ukończoną szkołę w Cieszynie i pracował jako leśniczy na kresach - w Krzemieńcu. Po wojnie utrzymywałam z nimi przez cały czas kontakt: A żona Bogusza była kresowianką. Bogusz poszedł do Kościuszkowców, po wojnie wrócił do Sosnowca, zmarł w Dąbrowie Górniczej. Syn Bogusza mieszka w Warszawie.

Placówki andersowskie zostały już zamknięte. Powstał już ZPP. Związek organizował już sierocińce, szkoły dla dzieci polskich. W szkołach /to były szkoły typu rosyjskiego/ pojawiały się podręczniki polskie, tłumaczenie podręczników rosyjskich na polski. Trafiałam do polskiego domu dziecka w Stalinabadzkim rejonie. To był dom stworzony na bazie sierocińca w Chanaka i w Koltaszu. One się połączyły i przeniosły się do rejonu Stalinabadu. Razem z personelem było nas około 200 osób. Dzieci były i w wieku szkolnym i przedszkolaki. Około 40% stanowili Żydzi. Początkowo były wielkie antagonizmy - oni swoje kuczki, a my swoje ołtarzyki, oni swoje modlitwy, a my swoje. To byli polscy Żydzi, nie tylko z kresów. Dyrektorką była Rosjanka, Maria Iwanowna, która nas bardzo rusyfikowała. Potem przyszedł Fieofan Stiepanowicz - Ukrainiec, sympatyczny. Nie wtracał się do spraw ideologicznych.. Potem przyszedł Jajtel Julian - podobno były więzień polityczny z Berezy Kartuskiej, przedwojenny prawnik ze Stanisławowa. On wrócił z nami do Polski, przywiózł dom dziecka, potem pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i nazywał się Tołczyński. Jego żona, Pola, była naszą wychowawczynią - bardzo kulturalna osoba, znała kilka języków obcych, grała na pianinie. Po wojnie była w Anglii, a jej pierwszy mąż - Berutowicz - był chyba rektorem szkoły filmowej w Łodzi.

W tym domu dziecka musieliśmy pracować. Mieliśmy swoje działki; pracowaliśmy też przy zbiorze bawełny. Praca była ciężka, prawie taka jak w kółchozie, a w kółchozie pracowałyśmy z mamą całym

Aleksandra Sliwińska c.d.

dniami przy rozbijaniu grud i za całodzienną pracę dostawałyśmy kę gotowanej pszenicy - nic więcej nie dostawałyśmy, ani chleba, ani pieniędzy. W domu dziecka najbardziej lubiliśmy pracę w takich lochach, pod ziemią. Tam przetwarzano owoce i jarzyny dla frontu, tam można było coś zjeść.

Do szkoły chodziliśmy regularnie. W budynku było skrzydło polskie, a resztę mieli Tadejcy - nie musieliśmy się z nimi kontaktować, wcale się z nimi nie kontaktowaliśmy. Może chodziło o to, żeby nas odizolować, żeby uniknąć śmiertelności, bo w polskim domu dziecka były same sieroty, czasami dane dziecko było już jedynym przedstawicielem rodziny, która wymarła. U nas warunki sanitarne były znacznie lepsze niż dookoła. I właściwie w domu dziecka żadne dziecko już nie umarło. Zmarł palacz - Dybas, zmarła żona Pirna, naszego nauczyciela fizyki - z Krakowa. Religii w szkole nie było. A Tajtel wykorzenił antysemityzm, zupełnie. Przestałyśmy już robić przedziakw. Spaliłyśmy po dwie w kółku i ^{ja}dzielikam kółko z Żydówką.

Do domu dziecka przyjechała też Boguszowa. Ona przed wojną była nauczycielką i teraz uczyła geografii. Kiedyś jej lekcja była hospitowana przez dyrektora Tajtela. Pani Boguszowa była po tej lekcji zdruzgotana, bo powiedziała, że Polska graniczy z Litwą, Łotwą i Estonią. Dyrektor na lekcji nic nie powiedział, ale potem w gabinecie dostała za swoją niedojrzałość ideologiczną, za to, co jej się jeszcze śni.

Kobiety urządzały seanse spirytystyczne, wywoływały ducha Piłsudskiego, przepowiadały, kiedy wrócimy do Polski, kto nas stąd wytwawi. Opowiadały swoje sny, wczucia, śpiewały "Boże, coś Polskę" i "Pod Twoją obronę" - ale to było w domach u pań z personelu. Personel techniczny - praczki, kucharki, sprzątaczkki - to były Polki, a personel wykształcony, dydaktyczny - to byli Żydzi. Polki mieszkaly poza domem dziecka. Tam się zbierały u siebie na modlitwy. Była tam wtedy pani Walaskowa - matka późniejszego boksera-olimpijczyka, pani Kowalska, pani Gardocka, która potem wyjechała do Łomży; pani Kochcicka /mieszka chyba w Oławie/. Był szewc Szwarec - Żyd. Mąż Walaskowej był u Andersa, a ona miała ze sobą 4 dzieci, m.in. Tadeusza. Te dzieci były w domu dziecka.

Miałyśmy racje żywnościowe - umrzeć nie można było. Ale głód był wiecznie. Byłam w starszej grupie. Kiedyś jedna z koleżanek zapytała, czy przyjdą takie czasy, że na stole postawią chleba tyle, ile chcesz. Zakrzyczałyśmy ją: "OO ty, głupia jesteś! jak nie ma, to nie ma. Nawet jak się dwie wojny skończą, to tak nie będzie, żeby dla wszystkich było chleba pod dostatkiem". A chleb nam ważyli na wadze.

Aleksandra Sliwińska c.d.

Paniątam z domu dziecka Helenkę Furman, z Zambrowa. Ojciec Helenki był oficerem, zginął w Katyniu. Helenkę opiekowała się ich była służąca, Czeszka. Została razem z Helenką wywieziona do Rosji, gdyż ojciec w chwili aresztowania prosił, by nigdy nie zostawiała Helenki. Czeszka ta czasami przychodziła do domu dziecka.

Z domu dziecka wróciliśmy do Polski w 1946 roku. Wcześniej wyjechała pani Boguszowa - zabrała syna Jurka. Bogusz zaraz po przekroczeniu z armią granicy rozpoczął starania o wyciągnięcie z Rosji żony z dzieckiem i swojej siostry, która była w lagrze /do lagru trafiła, bo nie przyjęła paszportu i poszła pod sąd/. Natalia Bogusz też była wychowawczynią w domu dziecka, w grupie chłopców. Ona i jeszcze jedna wychowawczyni nie przyjęły obywatelstwa i zostały wywiezione na Syberię. Bogusz był tylko sierżantem, ale był szefem tajnej kancelarii - a to się liczyło w czasie wojny! Znał języki, można było na nim polegać. W sprawie rodziny pisał nawet do Stalina. Udało mu się wyciągnąć rodzinę z Rosji, a mnie nie mógł wydosłać, bo ja nie byłam przez Boguszków adoptowana. Rozpaczałam, kiedy pani Boguszowa wyjeżdżała. Wtedy dyrektor wziął mnie do gabinetu i zaczął perswadować, że jestem głupia, bo Warszawa leży w gruzach, a tu mamy szkołę i my też kiedyś pojedziemy do Polski. Ale ja już nie wierzyłam, że kiedykolwiek jeszcze wrócę do Polski, po tych wszystkich przejściach. To było marzenie niesiszczalne.

Do 1946 roku skończyłam już 8-mą klasę. Świadectwa wydali nam trochę wcześniej. Uczyliśmy się cały czas po polsku. Nauczycielami byli wykształceni Żydzi polscy: fizyki uczył farmaceuta p. Birn, p. Carchindel i jego żona Lewi Eugenia - była polonistką /a on matematyki/ - wyjechali do Izraela; Birn wyjechał do Londynu - zmarł 2 lata temu; p. Pola - warszawianka - uczyła muzyki, śpiewu.

Wysłałam swoje świadectwo do Moskwy, zostawiłam sobie tylko kserokopię. Oryginał mam z 7-ej klasy.